

**Krzysztof
Czarnota**

NIOSĄCA RADOŚĆ

Rozdział I

Na liczniku mercedesa było jak zwykle 160. Z trzema litrami pod maską i zapasem 180 koni trudno jeździć wolniej, zresztą po co? Wracalem do stolicy spod warszawskiej miejscowości, w której aż roilo się od świezo postawionych willi nowobogackich mieszczuchów. W jednej z nich miałem spotkanie z producentem. W sobotni majowy wieczór na Trasie Katowickiej było prawie pusto, rozsiadłem się wygodnie za kierownicą i z papierosem w ustach prowadziłem niekończące się rozmowy przez komórkę.

Mimo zmroku wysoka temperatura na zewnątrz dawała się we znaki, dlatego nie wyłączyłem klimatyzacji. Silnik był ledwie słyszalny, a wewnątrz auta wprowadzało w sielankowy nastrój. Do dziś został mi sentyment do mercedesa. Człowiek czuje się w nim jak u pana Boga za piecem. Przyjemny wieczór. Rozmowy poszły znakomicie, podpisałem kontrakt na scenariusz do nowego programu. Życie nie umierać.

Wychodząc zza zakrętu, nieznacznie docisnąłem pedał gazu, wyprzedzając kilku maruderów, którzy wlekli się 120 kilometrów na godzinę. Parkują na tej drodze czy co?

Nagle zobaczyłem w światłach dziwny cień. Coś czarnego stało na asfalcie. Nie pomógł refleks, ABS ani wszystkie te nowoczesne bajery, na które producenci łapią nabywców luksusowych limuzyn, powodujące, że samochód zatrzymuje się w miejscu. Ktoś, czy może coś odbiło się od maski samochodu z siłą, z jaką piłeczka tenisowa odbija się od ściany. Zatrzymałem się jakieś dwadzieścia metrów dalej i zjechałem na pobocze. Poczulem suchość w gardle, a ręce latały mi jak delirykowi. Co zrobić? Najchętniej uciekłbym, gdzie pieprz rośnie. Ale nie można, trzeba wysiąść i sprawdzić, co się stało. Przez głowę jak błyskawica przeleciała paraliżująca myśl: „Zabiłem człowieka!”.

Otworzyłem drzwi i stanąłem za samochodem, nikt nie przejeżdżał. Dookoła panowała absolutna, złowieszcza cisza. Nastawiłem uszu. W rowie coś jakby nieznacznie się poruszyło. A może tylko mi się wydawało? Trzeba sprawdzić. Otworzyłem bagażnik, wyjąłem latarkę i ruszyłem w kierunku zarośli. Po przejściu dziesięciu kroków przystanąłem, żeby posłuchać. Nie było wątpliwości — w krzakach coś się ruszało. Boże...

Wziąłem głęboki oddech i nakierowałem latarkę na źródło ruchu. Na dnie rowu leżał pies. Kamień spadł mi z serca. Jakie szczęście, że to nie człowiek. Nigdy nie czulem tak wielkiej ulgi.

Zgasilem latarkę i wróciłem do samochodu. Po chwili siedzialem już za kierownicą, ruszając z piskiem opon. Nic się nie stało.

Po przejechaniu dwóch kilometrów niczym sztylet przeszyla mnie myśl: „A jeśli ten pies jednak żyje?”. Bzdura. Kiedy w niego uderzyłem, jechałem przynajmniej setką.

„Przecież się ruszał” — przypomniałem sobie.

Jednak sumienie nie dawało mi spokoju.

To tylko pies, jakiś nikomu niepotrzebny kundel blakający się po drogach. W dodatku za dwadzieścia minut mam być w knajpie na proszonej kolacji. Przycisnąłem do 180.

Po kolejnych trzech kilometrach wydarłem się ile sił w płucach:

— Niech to szlag jasny trafi!!!

Następnie wcisnąłem do oporu pedał hamulca, zredukowałem bieg i zawróciłem pełnym poślizgiem, tak jak uczyli mnie koledzy rajdowcy.

Szybko odnalazłem właściwą kępę zarośli. Wziąłem latarkę i ruszyłem w stronę rowu. Byłem na siebie zły.

„Co cię obchodzi jakiś kundel?” — powtarzałem w myślach.

Zatrzymałem się w miejscu, które zapamiętałem aż nazbyt dobrze, i ostrożnie przyświeciłem. Mogę się założyć, że serce waliło mi głośniejsz niż dzwon Zygmunt. W końcu oglądanie trupów — nawet psich — nie należy do przyjemności. Leżał tam. Żywy! W kałuży krwi z nienaturalnie ułożonymi kończynami, z rozszarpanym bokiem, wystającymi kośćmi, ale żywy. Na mój widok cichutko zaskomlał. Patrzył na mnie, a jego oczy zdawały się mówić: „Dziękuję, że wróciłeś”.